

Wojciech Szyda

PSYCHONAUTKA

From the pain come the dream

From the dream come the vision

From the vision come the people

And from the people come the power

From this power come the change

PETER GABRIEL- "FOURTEEN BLACK PAINTINGS"

I PEJZAŻE ŚMIERCI

Kobieta i mężczyzna trzymali się za ręce. Stali pod odrapaną ścianą na brudnym dziedzińcu, po kostki w mętnej wodzie, która miała zabarwić się krwią. Strzępy ubrań, przyklejone do wynędzniałych ciał, nie mogły ukryć rozlicznych ran. Ściana za plecami była dziurawa od pocisków. Niebo zraszało ich pomyjami kwaśnego deszczu. A naprzeciw trwał pluton egzekucyjny — pięć zawodowych snajperów. Kobieta z mężczyzną patrzyli spoza hańbiących masek z ekotworzywa, udających rybie pyski, w czarne ślepie luf. Mieli zginąć i byli gotowi na śmierć. *Carpe diem, memento mori*: byli chrześcijanami.

Po tym, jak ujęto ich nieopodal strefy granicznej metra, ich los wypełnił się. Niewybaczalny błąd: nocowali poza obszarem macierzystej stacji. Nawet kobieta nie mogła liczyć na łaskę. Członkinie Senatu były nieprzejednane. Podmiotowość kobiety kończy się tam, gdzie zaczyna jej związki z chrześcijaństwem. Mężczyzna może być bezkarnie zabity; jeśli opuszcza teren Getta. Chrześcijan wolno torturować. Oto prawo obowiązujące na terenie Posenstadt.

Snajperki odbezpieczyły broń. Cóż mogli zrobić przez kilka sekund dzielących ich od rozstrzelania? Płakać, krzyczeć? Mogli też milczeć. Albo roześmiać się histerycznie. Padła komenda. Słyszeli ją dobrze. Bardzo mocno uścisnęli sobie dłonie.

- *Viva Cristo Rey!* - Czysty, zaskakująco silny głos, bez trudu wybił się ponad ulewę i zawrodość wiatru.

Rozległy się strzały.

II WIZERUNEK

Marian Łodyżka, lat trzydzieści cztery, kawaler dotknięty syndromem przedwczesnej starości, oglądał swoją zapadniętą twarz w kawałku potłuczonego szkła. W prowizorycznym zwierciadle był obcy człowiek. Pomarszczone ciało, nie nazbyt bystre spojrzenie... wszystko to zdążyło zubożyć Łodyżkę. Ot, martwa skorupa, którą kiedyś zrzuci bez żalu. Penetrował odbicie, by sprawdzić, czy ,nie pojawiły się świństwa zwiastujące nową chorobę.

Za oknem lało. Łodyżka odkręcił rdzewiejący kurek nad brudnym zlewem, poczekał, aż spłyną nieczystości i wypłukał gardło, dolewając do słoika kapkę spirytusu. Szarym mydłem umył twarz, szyję i ramiona, następnie spryskał się tanim dezodorantem. Na tym kończyła się poranna toaleta Łodyżki. Nie golił się nigdy, mimo to zarost nie gościł na jego twarzy. Był hermafrodytą.

Przydziałowe mieszkanie, które otrzymał kilka lat temu, składało się z dwóch pokoi zarośniętych kurzem i pajęczyną. Ściany znaczyły smugi zielonkawych porostów. Miał jeszcze rupieciarnię w małej przybudówce. Ale wszędzie pod ścianami piętrzyły się kartony i worki ze śmieciami. Podłoga była zeskorupiałym klepiskiem. Czasem, lecąc kaca lub będąc na narkotycznym głodzie, odczuwał wszechobecny chaos toczący wszystko wokół - te ściany, te meble i okna, także jego samego. Entropiczna korozja przeistaczała Łodyżkę w szmacianą kukłę, żywą tylko dzięki instynktom. Zwłaszcza zaś instynktowi samozachowawczemu. Może jedynie dla kwiatu, który pielęgnował w składzie, warto było żyć? Trudne pytania, trudne odpowiedzi.

Włożył do piecyka termowłókna i wstawił wodę na herbatę. Ze smutkiem spojrzął w stronę kranu. Piramida naczyń piętrzyła się w zlewie. Poskręcany od artretyzmu palcami wypłukał pękniętą szklankę i zapalił skręta z marihuaną. Wyjrzał na ulicę, lało jak z cebra. Smród spalin zalał mieszkanie duszną falą. Po asfaltowym chodniku przemykali przechodnie: każdy z parasolem z psycholuminatem. Pieprzony deszcz... Łodyżka nie pamiętał, kiedy ładna pogoda nawiedziła ostatnio Posenstadt. Rzygać się chce.

Zatrzasnął okiennice i zalał proszek wrzątkiem. Smak syntetycznej herbaty - środki antypłodnościowe stanowczo psuły jej smak. Poranny posiłek był czynnością taśmową, a jednak istotną z punktu widzenia psychicznej higieny. Po śniadaniu jak zwykle ogarnął

Łodyżkę lęk na myśl o czasie, jaki został do zabicia. W takich sytuacjach stosował taktykę przeczekiwania. Byle do wieczora, byle do wieczora.

Włączył emiter. Płaszczyzny obrazu nałożyły się na siebie; nadpłynął dźwięk, fragment operowej arii. Pora audycji propagandowych. Gapił się chwilę, po czym bez żalu wyłączył urządzenie. Wstając od stołu, usłyszał gasnące linijki politycznej pieśni: „...Zwycięskie werble zabrzmiały gromko, gdy u bram świata stanie pochód nasz!”... Łodyżka chwycił szklankę, paczkę papierosów i wyszedł przez rozchylone metalowe drzwi.

III WSPÓLNOTA

Gdy na dziedzińcu straceń ginęła bezimienna para, kilkadziesiąt metrów niżej, na opuszczonej stacji metra budził się z sennego koszmaru brat Maksymilian. Pod powiekami miał nagą postać w blasku gromnic odbitą w lustrze. Mężczyzna w zwierciadle w każdym calu przypominał Maksymiliana - ta sama twarz, to samo spojrzenie. Poza jednym szczegółem. Pod brodą, na wysokości krtani, sobowtór miał ranę, buchającą strumieniem ciemnej krwi. Krew zalewała podłogę, wznosiła się na wysokość kolan, zaczynała sięgać piersi, potem szyi. Lustro płynęło. Maksymilian chciał krzyczeć, ale brakło mu powietrza; słowa więzły w gardle napotyając barierę zaciśniętych ust.

W końcu wygramolił się spod narzuty i odnalazł kontakt. Bładopomarańczowa poświata spowiła ascetyczne wnętrza pozbawione nawet łóżka. Maksymilian wrócił na materac, oparł się o złącze węzła ciepłowniczego. Na sen nie ma co liczyć, pogrążył się więc w lekturze. Litery książki były małe, ręcznie pisane; złe oświetlenie zamazywało ich kształty. Z wadą wzroku radził sobie używając powiększających noktosoczewek.

...czynniki odpowiedzialne za kryzys, którego następstwem była Krwawa Dekada, zwane też Drugą Wojną Biologiczną. Wirus HIV 3 wyprodukowany w syberyjskich laboratoriach przez lekarzy wojskowych pracujących dla Imperium Chińskiego został potajemnie wpuszczony do głównego zbiornika sieci prokreacyjnej Banku Krwi i Nasienia na terenie Hegemonii Euro-Amu. W efekcie w ciągu pierwszego miesiąca od oficjalnego wypowiedzenia wojny przez Radę Cesarską liczba zarażonych osiągnęła blisko osiemnaście milionów, w tym prawie trzynaście milionów mężczyzn...

Ostatni akapit na stronie był nieczytelny.

W trakcie działań wojennych wywiad chińskiego Bio-Techu zidentyfikował na podstawie satelitarnych zdjęć termograficznych podziemne szpitale porodowe, zwane wylęgarniami, ukryte pod ziemią w rejonie masywu Alp. To tam odbywała się produkcja masy ludzkiej,

wolnej od skażeń i mutacji, otrzymywanej w wyniku sztucznego łączenia wyselekcjonowanych genów... (*nieczytelne*)... Dnia 20 I 2133 roku sieć szpitali podalpejskich została poważnie uszkodzona na skutek ostrzału rakietowego chińskich samolotów bezzałogowych. Zniszczeniu uległo wówczas pięć największych gmin muzułmańskich: Nowy Bagdad, Misrata, Al-Marseille, Wielkie As-Salum oraz Trypolis III...

Jedna z lamp zamigotała i zgasła. Rano trzeba będzie wymienić. Lekturę tajemniczej kroniki zwykł kończyć kilkoma wersami z Biblii. Otworzył na chybił trafił. Bez sensu - pomyślał widząc akapit z Księgi Judyty, w którym Izraelitka dokonuje mordu na wodzu najeźdźców, Holofernesie. Nie znalazł wskazówki w swoim *fons exemplaris*, więc zmówiwszy modlitwę legł na posłaniu i starał się zasnąć. Myślał o Bogu i o Zgromadzeniu.

Geneza ich Wspólnoty wiązała się pośrednio z przedstawionymi w księdze faktami.

Kryzys Kościoła zakończył się w latach sześćdziesiątych wyborem papieża-kobiety przez sfeminizowane konklawe. Ojciec Anzelm, poprzedni przeor Wspólnoty, uważał to za gwóźdź do trumny chrześcijaństwa. Po okresie *sede uacante* zapoczątkowanym śmiercią Benedykta XVII, a zakończonym wyborem Joanny II (jak się nazwała niemiecka kardynał Martina Schenke, nawiązując do średniowiecznej legendy), ostatnie ortodoksyjne zgrupowania wiernych zostały potępione przez Stolicę Apostolską. Ojciec Anzelm mawiał, że encykliki Joanny II ogłoszone w ramach programu III Aggiornamento położyły kres dogmatyce katolickiej. Znosiły monoteizm, dogmat Trójcy Świętej, zaś sprawy aborcji „pozostawiły sumieniu kobiety”. Upadek Kościoła jako instytucji nastąpił wkrótce. Na obrady I Soboru Paryskiego Joanna zaprosiła myślących jak ona biskupów. Mocą uchwały podjętej w ostatnim dniu soboru zlikwidowano papieżstwo i episkopat. Wprowadzono „model kościoła społecznego” z niższym duchowieństwem obieralnym w ramach jednostek administracyjnych UE. Wywłaszczony majątek zasilił budżet Unii oraz posłużył do stworzenia charytatywnych i proedukacyjnych fundacji. Joanna II złożyła urząd biskupa Rzymu kilka tygodni później, a Państwo Watykańskie zamieniono w skansen.

Maksymilian podniósł się z materaca i zgasił światło. Nie mógł zasnąć, powracał obraz tego pokoju sprzed kilku lat. Ojciec Anzelm umierał, a Maksymilian na klęczkach słuchał ostatnich słów starca przerażony, że jako znacznie młodszy i niedoświadczony nie zdoła zastąpić Anzelma w przewodzeniu Wspólnocie.

- Zapamiętaj, co powiem, ale nie przekazuj tego Zgromadzeniu. Nasz Kościół, choć nieliczny, dlatego wciąż trwa, że jest prześladowany. Póki jego prawdy krwawią rozpięte na krzyżach, on jest czysty. Nie mamy bogactw, siły politycznej, żyjemy w ubóstwie. Dzięki temu naszych sumień nie brukają pokusy doczesności i trwa w nas duch... — starzec często kaszlał i cedził

ochrypłym szeptem. - Naszym celem jest moralne oczyszczenie świata, a to niemożliwe bez zdobycia władzy świeckiej. Tryumf, o który się modlimy, będzie tryumfem prawdy nad kłamstwem, ale po latach spoczniemy na laurach, rozleniwieni przez grzech i doczesność.

Maksymilian słyszał ciężki oddech starca. Widział jego białe jak mleko włosy w świetle świec. I nie rozumiał.

- Wiesz, kiedy zdałem sobie sprawę z tego paradoksu?... Dzieje naszego Kościoła... Poświęciłem życie historii, docierałem do wszelkich źródeł. Obraz tyleż smutny, co napawający nadzieją... Jesteśmy jak pierwsi chrześcijanie, jak oni żyjemy w podziemiach, z dala od świata. Nasz Kościół jest dobry, bo jest prześladowany... i biedny... przepojony ideą, która obywa się bez bogactw. Zawsze w historii ilekroć Kościół promieniował blaskiem potęgi doczesnej, moralność upadała. Kiedyś tak znów będzie z nami. Bo na pewno się odrodzimy... Uleczy my ten świat... Damy mu nadzieję, miłość, zbawienie.

Ostatnie słowa ojca Anzelma. Tylko Maksymilianowi dane było nosić w pamięci ten cierń. Nie powinien pozwalać sobie na chwilę słabości, ale coraz rzadziej znajdował ukojenie w modlitwie. Lękał się, że nie podoła. Oto krzyż, który będzie nieść po kres swoich dni.

IV MELINA

Meliniarka mieszkała w wilgotnym baraku obok rozsypującej się kamienicy. Część piwnic wynajmowała na melinę. Wśród butelek, strzykawk i zużytych prezerwatyw leżały tam rozprute śpiwory, wybebeszone materace. W powietrzu unosił się odór przepoconych koc, zmieszany z wódczanymi oparami i stęchlą wilgocią.

Jak na kobietę z dołów cechował Meliniarkę duży spryt i rozsądek. Nieźle prosperowała w podziemnym światku Posenstadt. Nie lubiła wygod. Sama zajmowała najmniejsze pomieszczenie w piwnicach, miała łazienkę, resztę udostępniała menażerii degeneratów i przestępców chroniącej się pod jej dachem. Była też dealerką syntac-hery, podłego narkotyku, który łatwo rozpuszczał się w alkoholu i gwarantował majaki. Nie była urodziwa: niski wzrost i bielmo na lewym oku nie pozwalały zwać jej atrakcyjną. Posiadała za to trzecią pierś, z czego skwapliwie korzystała, zbijając interes na zdejmowaniu bluzki. Zanim przyłgnęło do niej przezwisko Meliniarka, nazywała się Helga Bukowski. Splot dziwnych przyczyn sprawił, że w podziemnym światku Posenstadt zyskała autorytet: nikt nie wyrażał się o niej jak o dziwce, nikt nie kwestionował jej pozycji. Pijacy szanowali ją, bo w czasach kryzysu potrafiła skombinować spirytus na kredyt. Przestępcy ścigani przez „dziewczynki” z porządkowej ar-

mii Platformy zawsze znajdowali azyl w jej ruderze. Za specjalną opłatą ukrywała ich w komorach kanalizacyjnych. Trzecią grupę beneficjentów stanowili nabywcy syntetycznego proszku. Na jakość i skutki uboczne nikt nie zwracał uwagi, bowiem przysługujące wszystkim przydziałowe papierosy z marihuaną nie spełniały terapeutycznych oczekiwań.

Marian Łodyżka należał do trzeciej kategorii. Alkoholem gardził, odkąd w wieku szesnastu lat wstrzyknął sobie błonnik i potem regularnie przyjmował drażgi. Pozował do zdjęć w drugoobiegowych sekszinach, więc stać go było na tani towar. Z Meliniarka znali się z dzieciństwa i przyjaźnili ze względu na bliskość domów. Kiedy jej rodziców zabrano na eksperymenty medyczne, a jego matkę zamknięto w szpitalu dla obłąkanych, kontakty urwały się. Później Marian otrzymał dwupokojowe mieszkanie z opieki społecznej i okazało się, że jej melina znajduje się na drugim końcu ulicy. Zaglądał do niej często. Była jedyną osobą, odnoszącą się do niego z cieniem sympatii. Za towar płacił pieniędzmi, czasem wymieniał wartościowe przedmioty. Teraz niósł starą ikonę, wygrzebaną ze swojej rupieciarni. Kiedyś była tam galeria albo antykwariat. Obrazy nie obchodziły go ani trochę: do administracji nie chciało, mu się ich zgłaszać ze względu na kwiat. Białe, bezlistne narcyz, który nabył razem z mieszkaniem, był jego skarbem. Nikt nie wiedział, że spędza kilka godzin dziennie pielęgnując roślinę. Po narkotykach był to jego drugi nałóg.

Na miejscu spuścił się przerdzewiałą drabiną do piwnicznego przedsionka i przeszedł zacienionym korytarzem obok okratowanych cel płatnego seksu. Na końcu tunelu kopnął trzy razy w metalowe drzwi. Nikt nie otwierał. Postanowił obejść barak i zajrzeć przez szyby do środka. Dopiero wtedy ujrzał kartkę przypiętą do drzwi:

*Musiałam wyskoczyć w ważnych sprawach. Wracam przed, wieczorem. Czekaj w barze.
Melka.*

Zrezygnowany poczłapał w stronę wyjścia. Odniósł ikonę do mieszkania, wyciągnął spod parapetu foliowe zawiniątko i wyszedł na miasto. Pogoda psuła się wyraźnie. Burzowe chmury kłębiły się nad ulicą. Na szczęście miał niedaleko, dotarł, nim zaczęło padać.

Bar „Awerroes”, jedna z wielu zadymionych arabskich knajp z tanim żarciem i płatnym seksem. Przy drzwiach, oparte o żelazne słupy, wdzięczyły się ciemnonolice prostytutki, żony właściciela lokalu. Pod ścianą propagandową było kilka wolnych miejsc. Usiadł w pobliżu grupki zdezelowanych androidów grających w death pokera. Zdjął płaszcz i wystukał na zamawiaczu butelkę taniego wina drożdżowego. Purpurosokóry barman postawił przed nim flaszkę. Łodyżka wsypał przez plastikową szyjkę śnieżnobiały pył z foliowego zawiniątka. Narkotyk rozpuścił się momentalnie, przydając brązowemu winu jaśniejszy odcień. Ściana za plecami wyświetlała hasła:

.....TOLERANCJA TAK, WYPACZENIA NIE.....

.....ZOSTAJĄC HONOROWYM DAWCĄ NARZĄDÓW WEWNĘTRZNYCH
PRZYCZYNIASZ SIĘ DO ROZWOJU NAUKI.....

..... WALCZ Z CIEMNOTĄ, DONOŚ NA CHRZEŚCIJAN.....

Chrześcijanie. Tyle się o nich słyszało. Kim byli ci dziwni ludzie, mieszkający w opuszczonych tunelach kolei podziemnych? Co skłaniało ich do wyboru życia z dala od miejskich przyjemności? Podobno rygorystycznie odrzucali alkohol, wolny seks i narkotyki. Mówili o miłości, o modlitwie, czytali stare księgi. Sekta szajbusów... No bo jak wytrzymać bez prochów?

Odgłos strzału zaskoczył Łodyżkę. Jeden z androidów przechylił się i runął z krzesłem na podłogę. Z dłoni wystawał mu dymiący blaster. Gracze kontynuowali pokera, nie zwracając uwagi na towarzysza. Pechowiec - trzy rozdania z rzędu miał najslabsze karty... Marian odwrócił wzrok i pociągnął wino z butelki.

Nadal czuł się przygnębiony, ale słuch już mu się wyostrzył. Zamknął oczy i wsłuchiwał się w szepty organizmu. Po minucie wychwytał dialog z drugiego końca baru:

- Hans, to skutkuje. Wlewasz wino, żeby pokrywało dno, a potem wsypujesz tytoń z fajek, najlepiej całą paczkę. *Yerstehst du?* Dodajesz szczyptę hery, mieszasz i podgrzewasz. Pozwalasz, żeby gotowało się godzinę, zdejmujesz z palnika i odsączasz wino. Paczkę suszysz na parapecie i za kilka dni możesz robić zajebiste jointy...

Ciekawe. W ten sposób jeszcze nie eksperymentował. Niewykluczone, że był to sposób na uzyskanie narkotyku optymalnego: nie za mocnego, jak w przypadku hery, i nie za bardzo rozrzedzonego jak marihuanowe szlugi.

Powrócił chrypiący głos:

- *Aber das ist unmöglich!*

- Nie wiem, jak to możliwe, *mein Freund*, ale zawsze skutkuje. Wierz mi. Pewnie marihuana nasycona roztworem z hery bardziej kopie. Marihuana, marihuana, mar...

Słowa pod sklepieniem mózgu jak pijane nietoperze. Ma-ri-hu-a-na. Mari, Maria, Marian...

Ileż tajemnic kryją w sobie słowa. Mari-Huaną. Huan, czyli Jan...

Dotyk obcej ręki. Głosy ucichły. Uniósł głowę, stała przed nim Meliniarka.

- To ty jesteś Marią! — wycelował palcem, po czym roześmiał się histerycznie. Zamknął oczy, otworzył, Meliniarka była inaczej ubrana niż przed chwilą. Pociągnął dwa łyki. Ujrzał dwie bliźniaczo podobne kobiety obok swego stolika.

- *Wie gehts es*, Maniuś? Mamy już zwidy? Meliniarka cudownie rozmnożona; jak kosze pełne chleba i ryb. Nadal nie rozumiał.

- Nie sądziłem... że jesteście dwie...

- Bo ta obok to moja młodsza *schwester*, głupku - Mela popukała się w czoło,

- Nie mówiłaś nigdy...

Pogroziła palcem.

- No ustąpcz miejsca, okazaż trochę manier! Ostatkiem sił przemieścił się na ławie. Duplikat Meliniarki usiadł obok.

- Czeeść! *Wie heist du!*

- Jestem Lena — odezwała się kopia. — A ty Marian, jak sądzę.

- Ty jesteś Marią... - wybelkotał. - Maria i Lena, Marialena; Maria Magdalena; Maria z Magdali... — pociemniało mu w oczach. Kiedy się ocknął, kobiet nie było już przy stoliku.

W barze zrobiło się pustawo. Wstał z butelką w dłoni i wyszedł. Na ulicy nie znalazł ani Meli, ani jej siostry. Miasto wyglądało dziwnie. Ludzie, których mijał, idąc wzdłuż Totenstrasse, wydawali się inaczej ubrani, karnacja ich skóry była ciemniejsza. Szedł bezmyślnie, aż znalazł się pośród niskich, szpetnych zabudowań. Czyżby zbliżał się do granicy Getta? Widział świat jak przez szkło brudnej soczewki. Przystanął, by opróżnić butelkę. Przytrzymując się muru ruszył dalej. Równowagę począł tracić stopniowo. Na jego oczach architektura Posenstadt rozplywała się w bezdennym leju. Ciemność wsysała, czuł, jak osuwa się w jej objęcia..

Cisza i światło. W powietrzu unosi się suchy pył. Po bokach piaszczystego traktu rosną czarne rachityczne krzewy. Na zboczach poskręcane pnie drzew oliwnych wyginają się ku słońcu. Pod nim sól kamieni i pustynne wydmy. Nad nim słońce: jaskrawożółte oko. Przetarł oczy. Zamrugał, lecz obraz nie znikał. Sucha piaszczysta kraina o połaciach spękanej gleby, z niebem stalowoszarym. Udeptana droga skręca za pofałdowanym wzgórzem. Łodyżka dostrzega idący wolno kondukt. Grupa mężczyzn i kobiet mija go, oniemiałego. Trójka skazańców zmierza w stronę wzgórza na horyzoncie. W centrum młody, przystojny mężczyzna, zakrwawiony i bliski omdlenia, słaniający się pod ciężarem krzyża. Po bokach kroczą żołnierze w srebrnopiórych hełmach, z drzewcami włóczni w żylastych dłoniach. Kobieta wrywa się z tłumu i nie bacząc na krzyki legionisty, przykłada chustę do twarzy skazańca, po czym odchodzi w tłum. Tuż za nią inna kobieta, ruda, załamuje ręce i szlocha. Łodyżka oczu nie może oderwać. Gdzieś już ją widział, gdzieś w Posenstadt. Nie, nie tam...

Kondukt znika za zakrętem. Łodyżka unosi oczy ku słońcu, czuje szum w głowie'. Ciemność obejmuje go miękką dłonią, ponownie traci przytomność.

- Hej, hej, czy jest tam ktoo?!

- No dalej, *mein Prinz*, otwórzże oczy. Znał ten głos.

- Jeśli myślisz, że nie mam nic innego do roboty, tylko czekać, aż łaskawie uniesiesz gały, to się mylisz. Mruknął niezrozumiale.

- Przecież ty, kurwa, symulujesz, Maniuś, *nicht wahr?*

- Moja głowa.

- Nie zgrywaj męczennika. Zwyczajnieś przedawkował. Otworzył sklezione ropą powieki. Ujrzał sufit, a tuż nad

sobą pociągłą twarz okoloną świetlistą aureolą. Po chwili pojął, że patrzy na ikonę. Był w rupieciarni.

- Jak... ja tutaj... Powiedz,

- *Aber natürlich, mein Junge*. Lazłam za tobą. Zataczałeś się od ściany do ściany, gapileś się na ludzi, kilka razy upadłeś. Jakbyś niósł coś ciężkiego na plecach. Instykt przywiódł cię pod te drzwi. Weszłam za tobą, a ty minąłeś swój *Zimmer*, odwaliłeś kartony i wlałeś tu. Przechodząc rąbnąłeś głową o framugę.

- A ty, po cholere, tu?...

- Nie mogłam cię tak zostawić. No jużże, *sitzen sie*.

- Jak... długo?

- Kwadrans, złotko. Góra *zwanzig minuten*.

- Wstaję.

- Ostrożnie, twoja równowaga jest jeszcze zachwiana. Jakoś wstał. Ubranie miał brudne i rozdarte. Otrzepał się i usiadł na,, zardzewiałym zydłu. Mela wskazała doniczkę.

- Więc to jest twój skarb, dzieciaku.

Była pierwszą osobą, której dane było oglądać biel narcyza. Poczul irracjonalny strach. Nie powinien pokazywać tego nikomu. Ale przecież stało się. Trudno.

- Piękna zabawka — szepnęła Meliniarka dotykając palcem kwiatowego kielicha. - Maniuś, czy wiesz, ile to warte?

- Taa... Całe moje zasrane życie.

- Nie to miałam na myśli. Sprzedając roślinę, zgarnąłbyś kupę geld, byłbyś ustawiony do końca. *Verstehst du?*

- Nawet o tym nie myśl - warknął naburmuszony.

Przeszli do jego pokoju. Zmierzch sączył się przez szyby. Usiedli na materacach.

- Fajkę chcesz?

- Możesz rzucić.

- Śmierdzi u ciebie, Maniuś, gorzej niż w mojej melinie — zagadnęła wydmuchując dym. —

Przynajmniej otwieraj okna.

Powiodła wzrokiem po ścianach.

- Uuu, i grzybki się załęży. No proszę. Kiedyś trochę z nimi poeksperymentuję, ja?... Coś taki milczący?

- Słuchaj, Mela - zaczął niepewnie. - W „Awerroesie” zdawało mi się, że podeszłaś do mnie...

- Bo podeszłam

- I co?...

- Zero kontaktu. Szybko cię kopnęło.

- Byłaś dziwnie ubrana. Prawie naga... W szarej tunice.

- A to ciekawe.

- Miałaś odsłonięte ramiona, a na prawym tatuaż w kształcie mojego narcyza i doniczki, ale odwróconej kwiatem do dołu. Nagle zniknęłaś i nie mogłem cię pytać.

Meliniarka zdjęła kostium. Zaprezentowała się z kilku stron, odchyliła piersi. Ani śladu tatuażu.

- Jak widzisz, to tylko złudzenie. A zechcesz sprawdzić inne miejsca? Opuściła jego ruderę późno w nocy.

V NA PLATFORMIE: PRZESTRZEŃ

Dookoła były ściany z czarnego atlasu: falujące zasłony komory psychonautycznej. Szczelne i bez blasku, jak heban pomalowany antracytową emulsją, wizualizowały się w odcieniu czerni, zajmującym ostatnią pozycję na skalach pomiarowych Instytutu. W komorze unosiła się świadomość K. Sandry, długoletniej pacjentki IV Oddziału Instytutu Psychonautyki.

Mikrostenogramy pełne były monologów K. Sandry i zapisów prowadzonych z nią rozmów. Świadomość pacjentki tkwiła symultanicznie w dwóch światach. Pierwszym była obiektywna rzeczywistość Instytutu wraz ze wspomnieniami poprzednich doświadczeń. Co do drugiego świata, to istniały dwie sporne interpretacje obłądu K. Sandry. Jedna mówiła o odrealnionej krainie stworzonej z reminiscencji z dzieciństwa. Według drugiej chodziło o Jerozolimę za panowania cesarza Tyberiusza.

Techmedka Instytutu zmieniła pojemnik z kroplówką leżącej na łóżku kobiecie. Pochłaniające światło zasłony zafalowały.

VI NA PLATFORMIE: AGNES

Budynki w kształcie piramid błyszczą szarzącym szarawym blaskiem. Niewidzialne słońce chowa się za fasadą najwyższych pięter, ulice przybierają barwę ołowiu. U stóp poziomowców mrowie ludzi i androidów porusza się bezładnie wokół szklanych studni, skrzyżowań i tarasów. Chaos jest pozorny, z góry ta ruchoma mozaika wygląda klarownie. Śledzą ją kamery policyjnych oblatywaczy, penetrujących każdy fragment miasta. Transponowany na skanerach układu się w tysiące punkcików, mrowiących się w obrębie ekranu. Kolorystyka płynnych zawirowań jest dwubarwna, czerwień na skanerach miesza się z czernią. Pierwszy odcień wskazuje zagęszczenie androidów, drugi rasy ludzkiej. Gdy wskazania przekraczają normę, żółty sygnał alarmuje oficerów straży.

Na razie w porządku. Obywatelki IV Platformy i androidy kilku generacji mijają się na ulicach, nie myśląc o podglądzie Biura Inwigilacyjnego. Niewidzialne słońce gaśnie nad niewidzialnym widnokresem. Piramidy pokrywają się cieniem, ich kontury przestają być wyraźne. Miasto pustoszeje.

Jestem spóźniona - myśli Agnes, patrząc na zielone cyfry w rogu szyby rozdzielczej autolotu. Zatrzymała pojazd w pionowym tunelu parkowania, nad płytą lądowiska, wpisała komendę „zakończenie kursu” i przepuszczając płynące z naprzeciwka statki czekała na swoją kolej.

Wkrótce wsunęła się w hologramową bramę i poprawiając fryzurę w komputerowym lusterku, zaczęła opadać ku hangarom.

Półbiegnąc korytarzem Instytutu Psychonautyki, wspominała senne majaki, jakie nawiedziły ją w nocy. Obraz przestronnej sali oświetlonej tysiącem woskowych gromnic. Powracał widok wysypiska ludzkich szczątków, sinych i bezbronych niemowląt ułożonych w upiorne hałdy. Stała pośrodku, płacząc. Przerazona nie mogła oderwać wzroku od zastygłej dziecięcej rzeźby, masowego grobu złożonego z tysięcy niewinnych. Przy dźwigach o mało co wpadła na jedną z pracowniczek laboratorium. Wsunęła w otwór przywoływacza kartę identyfikacyjną i wsiadła do szklanej windy. Zamknęła oczy, znów rozpamiętując fazy snu.

i Na siódmym piętrze szarpnęło, rozległ się monotony elektroniczny sygnał - drzwi zaczęły się rozchyłać. Agnes ocknęła się, do środka weszła Lucy M'Zagro, asystentka pomagająca Agnes przy obsłudze psychodromu.

— Witam panią doktor — uśmiechnęła się sztucznie, dotykając palcem ozdobnej dziesiątki.

— Chyba obie się spóźniłyśmy.

— Na szczęście tylko parę minut.

Lucy M'Zagro ziewnęła dyskretnie.

— Kolejna nieprzespana noc - zamruczała uśmiechając się. - Molina, moja nowa kochanka, jest niesamowita. Tarzałyśmy się nagie prawie do rana. Wyobrażasz sobie? Oka nie dała mi zmrużyć.

— Co widać na załączonym obrazku. Lucy odruchowo poprawiła fryzurę. Na dziesiątym poziomie przeszły z mrocznego korytarza do obszernego przedsionka.

— Ach, ta Molina, Molina... Wiesz, Agnes — puszyła się Lucy — gdyby imiona odzwierciedlały charakter, powinna mieć na drugie Perwersja.

— A na pierwsze?

— Lepiej nie pytaj.

Agnes włączyła zasilanie i-wyjęła z szafy dwa blado-niebieskie kitle. Rozebrały się i zaczęły instalować małe sensoryczne siatki, najeżone mackami czujników i membran w okolicach rdzenia, piersi i tętnic przyusznych.

— Cała się jeszcze kleję - szczebiotała Lucy. - Nie wiesz, gdzie położyłam waciki? Przetnę sobie odkażaczem kilka miejsc.

— Na prysznic też nie starczyło czasu?

— Jak widzisz.

— Wolę widzieć niż czuć...

— No wiesz! Skąd w tobie tyle złośliwości?

— Źle spałam. Lucy westchnęła.

— Kiedy się sypia samotnie...

— Nie... Kiedy przyśni się koszmar. Paskudna sprawa.

— Czy pokazywałam ci, jaki prezent dostałam od Moliny? — postanowiła zmienić temat Lucy. — Chodź, koniecznie musisz zobaczyć.

Agnes podeszła, zapinając ostatnią klamrę siatki percepcyjnej.

Lucy trzymała w palcach połyskliwy, jasnobrązowy wisiołek przyczepiony do zwisającego z jej szyi srebrnego łańcuszka. Gabinetowe lampy odbijały się w ściankach nieregularnej bryły przypominającej bursztyn. Nie był to jednak drogi kamień ani ozdoba ze sztucznego

tworzywa, lecz laminowany półtoramiesięczny embrion pokryty warstwą jubilerskiego lakieru. Bizuteria prenatalna, ostatni krzyk mody na Platformach.

— Prawda, że śliczny?

Agnes milczała.

— Widzisz, jak się mieni przy świetle? A tutaj... miłosna dedykacja. Spójrz.

Powracał, powracał sen.

- Agnes? - Ludzka rzeźba w hali fabrycznej.

— Agnes?... Czy coś się stało?

— Będzie lepiej, jak przestaniesz pieprzyć, usiądziesz przy konsoli i weźmiesz się do pracy.

Zrozumiałaś, czy mam powtórzyć?

— Ale...

—Natychmiast!

Lucy zapięła kombinezon. Wisiorek schowała do torebki i zainstalowała się w łączach siatki percepcyjnej. Podejrzliwie zerkając w stronę Agnes, zajęła miejsce w terminalu. Czekwała na polecenia.

— I jeszcze jedno, Lucy. Zabraniam ci przychodzić do Instytutu z tym czymś na szyi. Wyrzuć to przy pierwszej, okazji.

— Nie masz prawa; Agnes...

— Doprawdy? Chcesz się założyć? Za minutę wchodzimy w przestrzeń, nie mam zamiaru czekać. Pośpiesz się.

Zasiadły w terminalu i nałożyły wirtualne kaski. Następnie Agnes uruchomiła procedury wejściowe i po chwili obie zanurzyły się w wewnętrznym świecie psychonetu.

VII JEDEN DZIEŃ

Maksymilian udzielał spowiedzi w małej salce, odnodze hallu służącego za świątynię. W bladejzielonej poświacie lamp na ścianach niskiego pomieszczenia widniały krzyże, gołębnice, feniksy, baranki, kłosy zboża, bochny chleba, kielichy, postkoptojskie ornamenty winogron, starochrześcijańskie monogramy Chi Ro. Gdzieś nie dokończone szkice scen biblijnych i wizerunki świętych. Konfesjonał wsunięto w róg, dookoła ławki z klęcznikami; metalowe drzwi oddzielały prowizoryczną kaplicę od korytarza nawy. Maksymilian spowiadał codziennie, godzinę przed kompleką. Wcześniej nie przychodził nikt, ale zdarzało

się, że do spowiedzi przystępowało kilka osób. W przerwach czytał Pismo lub przygotowywał kazania.

Pierwszy uklęknął czterdziestoletni Malachiasz, kierownik prac na plantacji proteinofitów, jeden z doradców Maksymiliana do spraw wyżywienia Wspólnoty. Jego *confessio* było krótkie, ale szczere, zakończone solenną obietnicą poprawy. W ustach tego człowieka brzmiała wiarygodnie, ponieważ sam wytykał sobie grzech, by przewyciężyć go konsekwentnym uporem. Spowiedź nie trwała dłużej niż kwadrans. Wykorzystując chwilę przerwy, Maksymilian otworzył Pismo. Nie zdążył rozpocząć lektury. Drzwi uchyliły się i stanęła w nich kobieta. Kocim krokiem podeszła do konfesjonału.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Przypominała Magdalenę z obrazów El Greca. Nie tylko wygląd ją do niej upodabniał.

— Na wieki wieków amen.

— Bracie Maksymilianie, chciałam wyznać swoje grzechy. To moja pierwsza spowiedź, odkąd przyjęliście mnie... nie licząc tamtej, kiedy byłam chrzczona.

— Wiem, Rachel. Ukorz się wobec Pana i powiedz, czym zgrzeszyłaś.

Przyszła do ich Wspólnoty z Powierzchni, po tym jak wyrzucono ją z nocnego klubu za zabicie jednej z klientek. Nie mogła znieść, jak podrasowana hormonami żołnierka zabawia się uprawianiem seksu aborcyjnego. Pewnej nocy ujrzała ją śpiącą w wannie, odurzoną po zażyciu kilku tabletek dehrejty, obok leżał blaster, więc strzeliła jej w twarz.

- Obraziłam Pana Boga następującymi grzechami...

Była tak piękna, że żałował ślubów czystości złożonych przed laty. Czy była upadłym aniołem wskrzeszonym .mocą nowej wiary? Przecież plątała mu myśli, kradła sny. Może na tym polega pokuta?

- Wszystkich moich grzechów żałuję, obiecuję poprawę, a ciebie, ojciec duchowny, proszę o pokutę i rozgrzeszenie.

Maksymilian namyślał się chwilę.

- Widzisz, Rachel, twoje niepokoje wynikają z tego, że nie zdążyłaś się zżyć ze Wspólnotą. Wciąż nie możesz zapomnieć o upiorach z przeszłości. Jesteś z nami dwa miesiące, to naprawdę bardzo krótki okres. Miej nadzieję: czas zasklepi rany.

Spojrzał przez kratki konfesjonału. Smutne, błękitne oczy wpatrywały się w niego zachłannie. Zmieszany spuścił wzrok.

- Ten etap życia jest fragmentem wielkiej przemiany dokonującej się w twym sercu. Pamiętaj, że kiedy minie, odrodzisz się na nowo, lepsza i bliższa prawdy niż jesteś teraz. Musisz zaznać

cierpienia, aby osiągnąć wiedzę i stać się jedną z nas, chrześcijanką o czystym sercu. I nie obawiaj się, że nie podasz - jeżeli twoje pragnienie jest szczere, osiągniesz cel. Pan ci dopomoże. Módl się.

- Proszę, niech brat nie przestaje mówić — wyszeptala. — Słowa otuchy są mi tak potrzebne.

- Są tylko wskazówką, bodźcem zachęcającym do trwania w postanowieniu.

- Brat ma taki miły głos, tak mądrze opowiada...

- Być może, Rachel, ale... staraj się, by nigdy słowa nie stawały się dla ciebie wartością absolutną. Nie traktuj słów jak coś skończonego, lecz jak drogowskaz mówiący jak postępować. Niech czyny, a nie szlachetne słowa o tobie świadczą. Nie poprzestawaj na słowach. Rozumiesz?

- Tak, Maksymilianie.

- Zanim udzielę ci rozgrzeszenia, chcę, żebyś nauczyła się krótkiej modlitwy. - Wyjął kawałek papieru wetknięty między stronicę Biblii i podał jej. - Przeczytaj.

Rachela spojrzała na rzędy drukowanych liter.

Wybacz mi noc

Wybacz mi tamten dzień

Stracony czas

Wzgórze we mgle

Kocham Ciebie

W zmęczeniu sił

W przyływach burz

Od szarych dni

Do białych chmur

Przez smutek pól

Zimowych gwiazd

Po śladach krwi

Do Twoich ran ¹

Maksymilian uczynił znak krzyża.

- Grzechy zostały ci odpuszczone.

¹ *Tomasz Budzyński, „Pieśń przygodna” (z płyty „Triodante” zespołu Armia).

— W barze? — zapytała Meliniarka. — W jakim znowu barze? Siedzieli w mieszkaniu Łodyżki i palili jointy.

— Wczoraj po południu — odparł Marian. — Umówiłem się z tobą w melinie, ale zostawiłaś mi wiadomość, że musisz wyjść, więc spotkaliśmy się wieczorem w „Awerroesie”. Jak możesz tego nie pamiętać?

Meliniarka milczała zdziwiona.

— No?...

— Maniek, wydaje mi się, żeś jeszcze nie wyszedł spod hery. Ile tego wzięłeś? Łodyżka poczuł panikę.

— A tego - wycedził— jak mnie odprowadziłaś do domu, pomogłaś mi dojść do siebie i zostałam u mnie na noc?... Tego też nie pamiętasz?

Patrzyła na niego wzrokiem psychiatry.

— Obudź się, człowieku! Jak mogę pamiętać coś, co się nie zdarzyło?

— To mi się chyba śni — parsknął Marian. — Albo odjechało mi na dobre. Powiedz to jeszcze raz...

— Słuchaj, facet! — Meliniarka chwyciła go za ramiona. — Najlepiej zrobisz, idąc teraz spać. Twój organizm musi wrócić do równowagi, wydalić resztki świństwa, od którego mylą ci się ludzie i zdarzenia. Nie było żadnego spotkania, żadnej kartki na drzwiach i żadnej nocy spędzonej razem. *Null! Verstehst du?*

Podniosła się i skierowała ku wyjściu.

— Zaczekaj! - krzyknął zatrzymując ją w drzwiach. -Co ty masz na szyi? Stała patrząc wściekle.

— Słuchaj, *mein Junge*. Czuję się dzisiaj wyjątkowo podle, boli mnie głowa, a do tego dostałam okres. Nie nadużywaj mojej cierpliwości. Mów, o co naprawdę chodzi i kładź się do wyra!

— O twój wisiorek. Możesz mi go pokazać? Sięgnęła za dekolt i chwyciła medalik. Przedstawiał małą srebrną obręcz z krzyżykiem u dołu: znak płci kobiety.

— W porządku? Już się napatrzyłeś?

— Uhm — przytaknął.

—No to tymczasem. I sorry, że się tak wkurwiłam. Mam zły dzień. Przeszła parę metrów i odwróciła Się.

— Wyjaśnisz mi?

— Wydawało mi się przez chwilę, że nosisz krzyż, symbol chrześcijan. Pokręciła głową.

— To nie o taki krzyż chodzi. A zresztą zobacz. Mój jest skierowany do dołu, odwrócony. Jak możesz mówić, że mam coś wspólnego z ideologią tych psycholi?

VIII JEDNA NOC

Cienie rybich szkieletów przesuwały się po ścianach bloków i kamienic. W drżącym świetle hologramowych reklam majaczą zarysy budowli. Na ulicach połyskują śmieci niesione z deszczem w stronę studzienek ściekowych. We wschodniej części miasta, nieopodal zakola martwej rzeki, wznoszą się strzaskane wieże poarabskich meczetów. Dalej, pod mostem radioaktywne wody wysychającej rzeki płyną jeszcze ospale, spowite oparami.

Klaustrofobicznie niskie niebo sprawia, że miasto jest jak umierający owad schwyty w słoik z trucizną. Ulicami przechadzają się wojskowe patrole. Woda pod mostem płynie wolno, bezszelestnie, upiornie. Wysoko w ciemności świecą światła sygnalizacyjne dolnych poziomów Platformy.

Maksymilian klęczał w powietrzu. Pod sklepieniem gotyckiej katedry wirowali razem — on i konfesjonał. Przez szachownicę kratak widział niewyraźny zarys pochylonej sylwetki, zakapturzoną twarz. Pod nimi ołtarz, kaplice i prezbiterium tonęły w ciemności, a szkła witraży przygasły. Szeptął, a jego szept rozbrzmiewał echem.

Kłęczał. Kłęczał w powietrzu. Razem z nim wirowały nieme gołębie trzepocząc skrzydłami. Osobliwa była to spowiedź.

— Stoisz na rozdrożu, chłopcze — sapał staruch. — Ciężki wybór i wiele pokus przed tobą. Alternatywa jest prosta. Albo wyprowadzisz Zgromadzenie z podziemia i nawrócisz ten umierający świat, albo... - starzec zakasłał spazmatycznie. - Albo zgrzeszysz i dasz początek życiu Demona, który narodzi się z łona jawnogrzesznicy i twojego plugawego nasienia.

- Co mówisz?

— *Mare tenebrarum* zaleje świat, kwiaty zwiędną, spowiją Ziemię mrocznym odorem, a ty zaszlachtowany jak bydlę trafisz do otchłani piekielnych, na wieczne potępienie!

— Zamilcz!

- To ty zamilcz, głupcze. Mnie możesz dać wiarę. Opat klasztoru w Segowii, nie skłamałbym ci. Strzeż się.

— Kim jesteś?

— Służyłem Kościołowi, lecz imię moje przeklęte na wieki. Ogniem zemsty niszczyłem grzech i zarazę, w imię Pańskie wycinałem ten zwyrodniały wrzód, a zrobiono ze mnie zbrodniarza ukrytego pod mnisim habitem. Ty zaś przegrasz, bo nie będziesz dość silny. Taki nasz gówniany los.

— Przed czym... — Wydusił Maksymilian. — Przed czyni; mam się strzec? Co mam robić?

— Ani słowa więcej. Czas na mnie. Patrz, czym jest piekło.

Trzepot ptasich skrzydeł wzmógł się, zmieszany z krakaniem. Gołębie zniknęły. Stado kruków o zakrzywionych dziobach kołowało wokół. Torquemada uchylił drzwiczki konfesjonału i skoczył głową w dół. Kruki puściły się za nim szarpiąc dziobami. Staruch unosił się teraz podtrzymywany hakami ich szponów, a wychudzone ciało pokrywała mozaika ohydnych ran. Naraz krzyk rozdarł ciszę nawy, kiedy nagie ciało inkwizytora uderzyło o kamienną posadzkę. Witraże rozbłysły wizerunkami szkieletów i apokaliptycznych bestii. Maksymilian też zaczął spadać, machając bez skutku rękoma. Z ołtarza wzbila się biała gołębica i uniosła go tuż przed śmiertelnym zderzeniem z podłogą. Wyfrunęli przez drzwi kaplicy, ścigani zwierzęcym rykiem Torquemady:

- Aaaa!

Lecieli wśród chmur w bieli i błękie. Wylądowali na łące, pośród kamiennych głazów. Z bijącym sercem uniósł powieki. Gołębica zniknęła. Uśmiechając się ciepło, pochylała się nad nim Rachel. Pachniały poranną rosą jej kasztanowe włosy, muskały jego twarz.

— Tyś dobra—wyszeptał. — Tyś gołąb...

Spoglądał w pogodne oczy nie wiedząc, że sen zaraz do biegnie końca.

W zaułek przy zbiegu Gwarnej i Vogelstrasse wbiegły trzy zamaskowane postacie. Rozglądając się nerwowo, przecięły ulicę i zniknęły w bramie za rzędem koszy na śmieci. Z oddali dobiegał hipnotyzujący odgłos wojskowej syreny.

— Simon i E'Uas!,— rozległ się rozkazujący młodzieńczy szept. — Patrzcie, czy nikt nie idzie.

— Gdzie mamy stanąć?

— Jeden w bramie, drugi na rogu. Jakby co, to świećcie we mnie latarką.

Trzy zakapturzone postacie rozpiechły się w różne strony. Najwyższy został przy ścianie i, krytycznie oceniając niebo, sięgnął za poły płaszcza. W każdej chwili mogło zacząć padać. Uzbrojona w rozpylacz ręka zaczęła wodzić wzdłuż ściany. Chwilę potem brunatny mur zdobył połyskujący srebrzystą emulsją monogram. Przedstawiał wydłużoną literę „P” skrzyżowaną w połowie długości z literą „X”. Chłopak zaświecił latarką w stronę kompanów i trójka pobiegła na następną ulicę.

Tam czynność powtórzyła się. Tym razem był to niewielki rysunek w kształcie ryby. „Malarz” schował tubkę aerozolu i dając sygnał ruszył w stronę mostu. Kompani podążyli za nim. Gdy przystawali, by zlustrować wyloty krzyżujących się ulic, pisali złotym kolorem: „Prawda uczyni was wolnymi”; „Jest jeden Bóg”, „Wiara, Nadzieja, Miłość”...

— Szybciej, E'Lias, musimy zdążyć przed patrolem.

Po kwadransie byli przy zboczu, opadającym łagodną stromizną ku wybetonowanym brzegom. W powietrzu unosił się ciężki zapach ropy. Grzęznąc po łydki w czarnej brei, błyskając latarkami posuwali się ku filarom i przęsłom.

Żołnierki z szóstego plutonu FI kończyły obchód. Nocny patrol kierował się w stronę koszar. Schodziły z mostu, gdy czujniki zaczęły wariować. Na skanerach pojawiły się czerwone plamki. Dowódczyni zatrzymała pluton.

— Przygotować broń! — rozkazała przez tuner. Rozległ się szcęk ładowanych blasterów.

Świetliste

kółka odbijały się od powierzchni rzeki. To musieli być oni.

- Schodzić pojedynczo. Pierwszy pójdziesz ty, Rossie.

— Tak jest — odparła młodziutka szeregowka.

— Sigusch i Delambre — rozkazała dowódczym. — Będziecie ubezpieczać ją od tyłu!

- Tak jest

- Goldman, Harris, Manion i Livra - wy pójdziecie ze mną od strony drugiego zbocza.

- Rozkaz! - odkrzyknęły i rozbiegły się, ściskając odbezpieczone blastery.

Właz był blisko. Przed starym wysypiskiem sprawdzili, czy nikt za nimi nie idzie. W ciemności słabo widać, ryzyko zawsze istnieje. Szczęście mogło przestać im sprzyjać, ktoś mógł wytropić tajny szlak nocnych wypraw i, co najgorsze — odkryć właz. Żadna z kilkuset „wycieczek” nie została ujęta. Były noce lepsze i gorsze, często kryli się w rurociągach, opuszczonych melinach i nieczynnych fabrykach. Parę razy byli ranni. Ale nigdy nie zostali złapani.

Warstwa betonowego gruzu kryła właz do starej studzienki ściekowej. Simon z Jeremiaszem pilnowali filarów, E'Lias odwałwał gruz. Wtedy dostrzegli czarne sylwetki ledwo widoczne w mroku. Rozległ się cichy gwizd.

— E'Lias! Spieprzamy!

Pobiegli wybetonowanym brzegiem. Teraz liczyło się, by odciągnąć patrol jak najdalej od włazu. Zanim przebiegli pięćdziesiąt metrów, część filaru smagnięta promieniem blastera rozleciała się z hukiem. Usłyszeli trzask betonowych odłamków i chlupot wody. Przyśpieszyli. Dwieście metrów i dotrą do wzniesienia. A stamtąd do ruin elektrowni, znali jej labirynty jak własną kieszeń.

Gnali na złamanie karku.

Wystrzał targnął ciałem E'Liasa. Młody chrześcijanin wyleciał w powietrze niczym potracony manekin i z łoskotem uderzył o ziemię. Simon i Jeremiasz stanęli zdezorientowani. Nie mieli pojęcia, skąd padł strzał. Podbiegli do towarzysza, był umierający.

— Biegnijcie... - charczał poprzez krew. - Zostawcie mnie...

Próbowali wziąć go na plecy.

— Durnie! Uciekajcie...

Z trudem dźwignęli go z ziemi, pobiegli ku wzniesieniu. Przed schodami zatrzymali się jak wryci. Czarne mundury i blastery zagradały im drogę.

— Poddajcie się! Nie próbujcie ucieczki — zawołała dowódczyni.

Za plecami usłyszeli odgłos uderzających o beton oficerek. Szczęk broni.

— Łapy na kark i bez żadnych sztuczek!

Po lewej stronie spirala schodów, którymi nie uszliby daleko. Śmierć czyhała od frontu i od tyłu. Z prawej była rzeka.

- Rzucić to ścierwo i klęknąć! – krzyknęła dowódczyni.

— Łapy na głowę!!

Simon ułożył ciało E'Liasa na ziemi. Przez chwilę zasłonięty wykorzystał sytuację, by szepnąć:

- Skaczemy... Jedyne szansa...

Chwytając ciało umierającego przyjaciela, rzucili się w wodę. Przez kilka sekund byli w powietrzu, wystawieni na strzały. Dopiero nad powierzchnią, gdy mieli zanurkować w śmierdzącej brei, dowódczym zorientowała się i posłała im serię. Ognisty promień smagnął płaszcz Simona, spalił lewą dłoń Jeremiaszowi. Byli pod wodą. Młócąc wściekle przedzierali się z moczem przez gęstą ciecz. Ciało E'Liasa ciążyło im jak młyńskie koło. Nad głowami brudne lustro kotłowało się od strzałów. Gdy się wynurzyli, by zaczerpnąć powietrza, woda wokół parowała i bulgotała spieniona. Ledwo uniknęli pocisków. Ciało E'Liasa odpłynęło o parę metrów. Nie mogli po nie wrócić. Simon patrzył, jak wojowniczkami rozstrzeliwują martwy korpus jego brata. Porozrywane kończyny odpływały w różne strony.

- Możemy wracać do fortu. Jestem pewna, że nie żyją

— stwierdziła dowódczyni, lustrując rzekę przez noktogogle. — Nie mieli prawa wyjść z tego cała.

A jednak wyszli. Przytomność odzyskali wczesnym świtem, budząc się w lepkiem mule na drugim brzegu. Szare niebo wypluwało pierwsze krople. Wokół ani żywej duszy. Raz jeszcze przeprawili się przez rzekę. Dotarli do wjazdu i dziękując Bogu za ocalenie zniknęli w jego wnętrzu.

IX NA PLATFORMIE

Pasmo neurotyczne zwizualizowało się w ciągu pięciu jednostek wewnętrznego zegara przestrzeni psychonautycznej. Z początku mętne, drgające zarysy na szarym tle landscape'u powoli stygły i nabierały wyrazistości. Po chwili Agnes rozpoznała wieżę. Depresja zawsze wizualizowała się w formie wieży. Podpłynęła bliżej i zatrzymała obraz na lewej części ekranu. Wpisała komendę zachowującą i potwierdziła prawdziwość zapisu. Dopiero teraz mogła rozpocząć działania terapeutyczne. Zazwyczaj obywatela się bez zerkania na counter, wołała działać intuicyjnie, kierując się własnym wycuciem. Doświadczenie nauczyło ją szybkiej adaptacji do skal czasowych netu. Po zakończeniu terapii nie miała trudności z przestawieniem się na czas wspólny. Była jedną z najlepszych psychonautek na Platformie - sama Rita Fichte, przewodnicząca Senatu, brała u niej seanse relaksujące.

Nazywała się Agnes Maria Aspilakopa (takie imię nadała jej komisja wystawiająca akt urodzenia). Z pochodzenia była Greczynką. Na Platformie rodowód i imię grały rolę najwyżej towarzyską: liczył się numer rejestrowy i karta personalna. Agnes miała srebrną kartę, co

stawiało ją ponad dwoma niższymi kategoriami. Zdecydowały o tym jej umiejętności zawodowe. Karty złote, dające przywileje największe, otrzymywały członkinie Senatu i kierowniczkę resortów Ministerstwa Administracji. Agnes uważała, że i tak zaszła daleko. Zwłaszcza kiedy przypominała sobie początkowe trudności z wnioskiem o wyniesienie jej do kategorii srebrnych. Część komisji sprzeciwiała się, uznając doktor Aspilakopę za jednostkę aspołeczną, i co gorsza — aseksualną, gdyż wedle ustaleń Biura Inwigilacyjnego nie utrzymywała związków intymnych z obywatelkami. Przeważyły głosy wskazujące na jej fachowość i ofiarność w służbie społeczeństwu. Senatorzy przyjęły wniosek prawie jednomyślnie, a uroczyste wręczenie karty odbyło się dwa dni później.

Procedurę wstępną miała za sobą. Teraz musi połączyć się z komorą psychonautyczną, w której przebywa pacjentka. Wcześniej posłała impuls budzący, teraz sprawdzała, czy możliwe jest wejście w kolejną fazę seansu.

Płynąca w przestrzeni wirtualna siatka falowała powybrzuszoną topografią. To z niej miał zwizualizować się wirtualny odpowiednik postaci Rebeki (ze względów terapeutycznych przyjmujący odcień cytrynowego polichromu). Manekin Agnes miał połyskliwą barwę orzechowego kobaltu, o maksymalnej rozdzielczości obrazu drgającego z częstotliwością podprogową. Po chwili stały naprzeciw siebie, zajmując miejsca w bipolarnym synchronizatorze odczytu. Psychonautka pozdrowiła kuracjuszkę.

„Witaj Rebeko, zaczynamy seans. Jeśli będziesz gotowa, daj mi znać”.

„Dzień dobry pani doktor. Myślę, że możemy zacząć”.

„Możesz mówić do mnie Agnes”.

„Dobrze, pani doktor... To znaczy Agnes...”

„Rebeko, niepotrzebnie się denerwujesz. Ten zabieg to naprawdę nic poważnego”.

„Wiem, Agnes, raz w nim uczestniczyłam”.

„Tym bardziej nie ma powodu, żeby się bać. Jak tam -jesteś spokojna?...”

„Tak... staram się”.

Wskaźnik napięcia wskazywał co innego.

„Czy widzisz prototyp obrazu, Rebeko?”

„Tak, widzę starą wieżę na pustym polu”.

Czytnik nadal wyświetlał wysoki poziom stresu. Można temu zaradzić, aplikując Rebecę zastrzyk uspokajający, ale to zmniejszy jej zdolności orientacyjne w psychonecie. Seans wymagał wyobraźni przestrzennej także od kuracjuszek.

- Przygotuj się, Rebeko. Kiedy wejdziemy w pierwszy etap, podążaj za mną. Pod wieżą otrzymasz nowe polecenia. Teraz naśladowaj moje procedury manualne. Zaczynamy od zdjęcia blokad syntaktycznych.

Ruch wirtualnej dłoni obracającej wielowymiarową kostką. Kciuk i palec wskazujący usuwają sześciocienne fraktale z wierzchołków figury. Pojawia się migający napis:

CZEKAM NA WPIS PRAWIDŁOWEJ SEKWENCJI

KODÓW DEROGACYJNYCH Agnes napełnia elementy bryły serią kodów i uzupełnia dziury ziejące w rogach sześcianu.

OKREŚL SPOSÓB ROZGRANICZANIA ETAPÓW: EWOKACJA KOMENDY ALTERNATYWY ROZŁĄCZNEJ / EWOKACJA KOMENDY ALTERNATYWY NIEROZŁĄCZNE J

— Wybieram pierwszy wariant.

CZEKAM NA POTWIERDZENIE

— Wpisuję klauzulę konfirmacyjną.

Kostka rozszczepia się na tysiące sześcianów. Wszystko znika, następuje wizualizacja PrzedSIONKA. Po bokach bezmiar wirtualnych kartotek, infostrad połączonych w mikroprocesorowe wstęgi.

Płynęły lustrzanym tunelem w kierunku wirtualnej budowli. Agnes podejrzewała, że wkraczanie do środka wieży nie będzie konieczne. Świadczyła o tym dolegliwość Rebeki, typowy w jej wieku zespół depresyjny menopauzy. Program leczniczy też był standardowy. W fazie wieżowej najważniejszy okazał się psychiczny kontakt lekarki i pacjentki (odbywający się za pośrednictwem pasm transmisyjnych). Wszystkie umiejętności zawodowe Agnes można było sprowadzić do tej części seansu — reszta nie odbiegała od zakresu umiejętności przeciętnej braindriverki. Nawiązywanie relacji z chorymi wymagało wewnętrznego treningu, harmonii myśli i działań oraz koncentracji. Nie знаła swojej matki, lecz podejrzewała, że tego typu zdolności nabywane są dziedzicznie.

Pojawiła się grafitowa brama, a za nią szary, depresyjny krajobraz wyjałowionej ziemi z rudobrazową basztą pośrodku. Agnes uruchomiła procedurę wejściową. Jarzące się paski blokujące zniknęły.

Bądź gotowa, moja droga. Wkraczamy w strefę Wieży. Wpłynęły we mgłę między kolumnami.

X TANCERZE WE MGLE

Przyszła do komnaty Maksymiliana nocą, upewniwszy się, że inne kobiety już śpią. A jeśli nawet, miała przecież prawo poczuć potrzebę modlitwy i opuścić salę o każdej porze. Przemknęła cicho korytarzem, minęła kuchnię i skręciła w przedsionek. Zastukała trzykrotnie w metalowe drzwi. Po chwili ujrzała go w bladym świetle. Poznał Rachelę i zaprosił do środka.

- Czy coś się stało?

Nie spał jeszcze. Na stole leżała otwarta księga.

- Chcę prosić brata — odparła cicho — żeby się ze mną razem pomodlił.

- Zrobię, co w mojej mocy.

- Miałam straszny sen, w którym wróciła przeszłość. I teraz lękam się...

- Usiądź, Rachel. Opowiedz o wszystkim, zrzuć ciężar z serca. Usiadła obok na ławie.

- Proszę brata - spytała nagle. - Czy we śnie można popełnić grzech?

Zdziwiony pomyślał chwilę.

- Nie można, Rachel. Do popełnienia grzechu niezbędna jest świadomość i wola. Śniąc nie kontrolujesz własnych myśli. Nie można też popełnić grzechu przez przypadek. Rozumiesz?

- Tak.

- Cokolwiek ujrzałaś we śnie, zapomnij.

- Przecież miałam bratu opowiedzieć... — Jeśli uważasz, że to ci pomoże.

Wpatrywała się niewinnym wzrokiem skrzywdzonego dziecka. Bał się tego spojrzenia.

- Śniłam, że znów byłam na Powierzchni... W tej samej roli. Wszystko było, jak kiedyś: wystrój kabiny, wielkie lustro na suficie. Robiłam to samo, co przed laty i... wspomnienia te były przyjemne. — Wydało się jej, że Maksymilian poczerwieniał, schwyciła go za nadgarstek. — Och, chyba nie powinnam!

- Mów... Rachel.

- Włączył się czerwony sygnał w baldachimie, ktoś chciał wejść. Spojrzałam na ekran... Postać w płaszczu, może habicie, z twarzą osłoniętą kapturem. Poczułam dziwne podniecenie i; otworzyłam drzwi. Wtedy on zdjął kaptur.....

- On?

Spojrzała szklistym wzrokiem.

- To byłeś ty, bracie Maksymilianie. - Zastłoniła usta dłonią.

- Demon nieczystości często nawiedza nas w snach — mruknął. — Mów. Wyrzuć to, z siebie.

Utkwiła wzrok w podłodze.

- Całowałam się z bratem, a później kochaliśmy się... Boże, ja skłamałam!

- Co znowu?

- Skłamałam mówiąc, że obudziłam się, czując lęk. Tak naprawdę to czułam... pożądanie. Niezaspokojenie.

Maksymilian siedział sparalizowany, nie mógł wydobyć słowa. Policzki mu płonęły.

- Będzie lepiej - wycedził po długim milczeniu - jeżeli pomodlisz się sama, w odosobnieniu. Zwalczenie pokusy lubieżności wspólnie z kimś, kto ją wywołuje, nie jest mądrym pomysłem — wstał, a raczej wyskoczył z ławki jak oparzony. Podszedł do stołu. Otworzył kilka szuflad, poprzestawiał różne przedmioty. Nadal tam była. Wciąż patrzy wzrokiem bezradnego dziecka.

- Przepraszam za ton — wyszeptał. - Postąpisz właściwiej, prosząc o wspólną modlitwę którąś z kobiet. A teraz wybacz, muszę pracować

Wstała ze spuszczoną głową i nagle wybuchnęła płaczem.

- Idź z Marią, Rachel. Ona cię zrozumie...

Wybiegła potykając się w progu. Nie podażyła jednak w stronę stacji. Echo kłaśnieć jej sandałów i szloch rozbrzmiewały od strony dolnych schodów. Zwariowała? Czemu tam pobiegła? Mogła złamać kark, trafiając na obluzowany stopień. Ale widocznie to tam miało się rozegrać. Tak bardzo pragnął pójść za nią i być świadkiem demaskacji. A jednak wiedział, że muszą czekać. Ten człowiek nie mógł kłamać.

Chwycił latarkę i pognął lewą odnogą korytarza w stronę metalowych schodów. Droga prowadziła do magazynów, w których trzymali żywność i maszyny. Żeby tylko nie potknęła się na schodach, znajdzie ją. Dolne segmenty to ślepa uliczka. Zdyszany dobiegł do zardzewiałej poręczy. Poświecił w dół. Snop światła omiół kilka kondygnacji:

ani śladu Rachel. Dopiero gdy wstrzymał oddech, usłyszał ciche stąpanie. Była na samym dole.

- Rachel! - krzyknął głosem człowieka, którego rolę miał odegrać. Nie było odpowiedzi.

Zaczął schodzić po metalowych stopniach. Maksymilian znał drogę, wielokrotnie nadzorował magazynowanie. Miał latarkę, więc nic dziwnego, że szybko stanął na dolnej kondygnacji. Przeszukał wszystkie wnęki i zagłębienia, sprawdził drzwi do pomieszczeń. Nie powinien odkrywać włazu za wcześnie. Przecież nie zna jej tajemnicy. Stanął i począł nasłuchiwać. Cisza zupełna. Gdzie się podziała? Poświecił na ściany, schody i podłogę. Starał wczuć się w rolę. Wybrzuszenie gumolitej posadzki sprawiło, że pojął. Uniósł płat tworzywa i ujrzał

ukryte wejście. Dziurę przykrywała stalowa pokrywa. Postanowił, że najpierw zapuka... Nic... Dopiero po chwili usłyszał szuranie butów po szczeblach drabinki i cichy metalowy brzęk. Wiedział, że z tej drogi nie sposób zawrócić. Odsunął płytę, schował latarkę za pas kombinezonu i spuścił się na dół.

Stała oparta czołem o betonową ścianę. Pomyślał, że Maksymilian, jakiego znała, dopiero teraz zdałby sobie sprawę, że odkrył nieznany dotąd, trzynasty segment.

— Przychodzę tu — odezwała się cicho — kiedy pragnę być sama ze swoimi myślami.

Rozejrzał się. Nie było żadnego symbolu, krzyża czy choćby obrazka. Na podłodze walały się stare sienniki. W kątach pod ścianami stały trzy zapalone świece.

— Chciałem cię przeprosić — powiedział, kucając tyłem do niej i zbierając palcem krople wosku. — Postąpiłem niegodnie. Masz prawo być na mnie zła. Chcę to naprawić.

- Dziękuję ci, Maksymilianie - odrzekła pewniejszym głosem. — Możesz się odwrócić.

Stała naga, z rozplecionymi włosami opadającymi miedzianorudą kaskadą. Na lewym ramieniu, tuż poniżej barku, miała dwubarwny tatuaż: odwróconą doniczkę z bezlistną łądygą zakończoną kwiatem o barwie szafranu. Była metr od niego. Nie mógł opanować erekcji.

- Ten znak na twoim ramieniu... Nigdy go wcześniej nie widziałem. Zmierzwiała mu włosy, śmiejąc się:

— Naturalnie, że nie widziałeś, biedaku. Lękałeś się spojrzeć na mnie nawet, kiedy byłam ubrana.

- To piętno?

Spuściła oczy poważniejąc.

— Tak znakowano kobiety w domu nierzędu. Masz rację, teraz to jak piętno hańby... — schowała twarz w dłoniach. Objął ją, całując we włosy. — Boże — szeptała — jakże błędziłam.

Przytulił ją mocniej. Przyległa zachłannie niczym lepka hormonalna substancja. Zrzuciła mu ręce na szyję, wtuliła głowę w jego pierś. Ściskając ją coraz mocniej, czuł, jak traci kontrolę nad swoim zachowaniem, ręką wodził wzdłuż pleców, obejmował pośladki. Jej zapach odurzał go, odbierał świadomość, niweczył świętość przysięgi.

— Mój wyśniony — szeptała szukając jego ust. — Jedyne!

Odnaleźli się wreszcie, nie było siły, która mogłaby ich powstrzymać. Legli na brudnych materacach. Usiadła na nim i zaczęła rozpinąć guziki jego kombinezonu. Po chwili oboje byli nadzy. Zjednoczeni jedną potrzebą i myślą, zamknięci w wewnętrznym świecie doznań, odprawiali prywatną mszę.

XI ZMIERZCH

Narkotyczna wizja poraziła Łodyżkę brutalną retrospekcją. Światło latarek sączące się przez drzwi. Kołatanie w ciemności, wrzask komend dla plutonu interwencyjnego. Poczłł broń na skroni, zobaczył uśmiech zgnięj satysfakcji na twarzy Meliniarki i, kątem oka, doniczkę wynoszoną pod przezroczystym kloszem. Próbował się wyrwać i stanąć w obronie, lecz padł na ziemię rażony impulsem paralizatora. A potem słyszał trudną do zniesienia ciszę własnej rudery. Jedyna bliska mu osoba złożyła donos, jedyna rzecz, którą kochał, została mu odebrana. Człł pustkę.

Ponownie zobaczył siebie włóczącego się ulicami Posenstadt. Po raz pierwszy człł się niepotrzebny, a to straszne brzemię. Z butelką wina wrócił do mieszkania. Zaryglował drzwi. Ze skrytki pod parapetem wyciągnął woreczek z narkotykiem. Tym razem wsypał do butelki całą zawartość.

Po godzinie, która wydawała się dłuższa od wieczności, odstawił puste szkło. Kucnął w kącie pokoju i przytulił się do ściany. Przez brudne szyby sączył się do mieszkania szary zmierzch. Zamknął oczy.

Noc zasnuwa widma i cienie dusz kirem, a nad światem zapada ciemność. Wtedy bezszelestnie wyfruują z podziemia dwaj skrzydlaci synowie nocy, jeden to piękny Hypnos-Sen, z kwiatem maku kwitnącego w dłoni, a drugi to jego brat bliźni, Tanatos-Smierć, o czarnych skrzydłach.²

XII KREW EDENU

Ciepłł oddechów i cierpka woń potu unosiły się pod sufitem trzynastego segmentu. Z dala od oczu i domysłów reszty Zgromadzenia popelniony został grzech. Grzech miłłści?

Duszny mrok działał usypiająco. Mężczyzna leżał pogrążony w nieświadomości snu, lecz jej nie wolno było zasnąć. Nadchodziła godzina. Nie śpieszyła się. Nie warto działać pochopnie, miała zresztą czas, by się przygotować.

Ze skupieniem obserwowała chłłpięcą twarz, która nie wyrażała nawet śladów pożądania, co najwyżej głłpkowate rozanielenie pozbawiające resztek charyzmy. W palcach ścisłała rękłojęsz sztyletu. Jakie obrazy drgają mu teraz pod powiekami? A może nie śni o niczym, pogrążony w czarnej otchłłani, skąd tylko krok ku tamtej stronie? Ku piekłu?... Doktryna jego

² Wanda Markowska „Mity Greków i Rzymian”

kościół przewidywała wieczne potępienie dla łamiących śluby, umierających po grzesznej akcie, bez ostatniego namaszczenia, bez spowiedzi. Nawet było jej go żal.

Westchnęła cicho i powolnym ruchem, zataczając półokrąg, zbliżyła ostrze do szyi śpiącego. Sztylet ścisnęła oburącz w spoconych dłoniach. Srebrzysty metal odbijał blask dopalających się świec. Zamknęła oczy. Następnie zaciskając zęby napała na sztylet całym ciężarem.

Drgnął bezradnie. Palce rozchyliły się w przedśmiertnym skurczu. Odskokzyła na bok, nie mogąc oderwać wzroku od skrwawionego ciała, z którym godzinę temu leżała spleciona w miłosnym uścisku. Poczowała smutek i wilgoć w kącikach oczu. Jej oddech stawał się ciężki, myśli poplątane. Potrzebowała czasu, by dojść do siebie i zacząć działać. Na zabójstwie nie kończyło się jej zadanie. Musi najpierw połączyć się z centralą i powiadomić zwierzchniczki. Zwilżyła palec śliną i potarła paznokciem tatuaż. Rzuciła kilka zdań sygnalizujących, że zlecenie zostało wykonane pomyślnie. Wnękowy nadajnik, ukryty pod skórą, przekazał komunikat. Teraz mogła się ewakuować. Ubierała się pośpiesznie, chciała jak najprędzej opuścić komnatę.

Jedyną osobą wiedzącą o jej misji była „Miriam”, także agentka Straży, wtyczka wysłana dwa lata temu w podziemia Wspólnoty. Miriam jako zaufana członkini Wspólnoty pilnowała furty i wjazdu, a jednocześnie informowała o wszystkim IV Departament przez nadajnik ukryty w tatuażu. Jeżeli wszystko poszło zgodnie z planem, powinna otworzyć wjazd, usunąć ciało, a przynajmniej zatuszować ślady zbrodni Racheli i dobrze zabezpieczyć wejście. Później nastąpi finał operacji: podmienienie Maksymiliana na sobowtóra, skopiowanego przez techmedki od chirurgii plastycznej. Racheli i Miriam myślą, że jest to pojedyncza akcja, ograniczająca się do jednej Platformy. Nie wiedzą, że plan obejmuje podmienienie wszystkich duchowych przywódców — w różnych miastach. Dane psychofizyczne imitacji rekonstruowano przez lata w klinikach i laboratoriach na podstawie zdjęć oraz próbek DNA dostarczanych przez agentów. Po trzech-czterech latach intensywnych przygotowań, obejmujących każdy rodzaj szkolenia łącznie z nauką katolickiej dotryny, wypreparowany psychicznie sobowtór miał zająć miejsce przeora w każdym skupisku wiernych, o jakim dowiedział się wywiad. A wywiad wiedział o wszystkich.

Przysunęła metalową drabinkę i zaczęła się wspinać. Nagle poczuła termiczne skurcze w okolicach tatuażu - znak, że Miriam albo zwierzchniczki chcą nawiązać kontakt. Potarła paznokciem przedramię.

Napięty, podenerwowany głos Miriam:

— Rachel?... Ewakuuj się, szybko! Cały plan spalił na panewce. Musimy wiać.

Milczała, czując chaos w głowie.

— Do cholery, Rachel?! Jesteś tam?

— Możesz powtórzyć?!

— Koniec operacji. Wszystko diabli wzięli.

— Gdzie jesteś?!

— Przy włączniku. Masz tu być natychmiast!

— Co się stało?

— Sobowtór zniknął.

— Co?!

— Jak kamień w wodę. Zgodnie z planem dwa dni temu wpuściłam go, kiedy wszyscy spali i ulokowałam w piwnicy mojej wnęki. Kilka godzin temu, kiedy chciałam przekazać ostatnie meldunki, jego nie było. Szukałam wszędzie. Przepadł i *schluss*.

— Uciekł?

— Pojęcia nie mam. Pośpiesz się. Czekam dziesięć minut, później spieprzam.

— Zaraz będę.

Odblokowała zamek przy pokrywie, uniosła ją i w ciemnościach korytarza ujrzała światła latarek. Zatrzymała się, czując narastający łomot serca. Zbliżały się niesione echem tunelu odgłosy nawoływań. Szukali jej. Szli w jej kierunku. Błyskawicznie chwyciła brzeg klapy, by ukryć się i przeczekać, aż przejdą. Szarpnęła raz i drugi. Nagle krzyknęła. Podeszwa buta miażdżyła dłoń. Rozkucz palców, rękojeść wysuwa się ze słabnącego uchwytu - metaliczny brzęk sztyletu.

Odbiła się od stopnia drabiny, z pięścią wycelowaną w krocze napastnika, lecz chybiła. Poczula stalowy uścisk na przegubach i podłogę korytarza pod plecami. Mężczyzna obezwładnił ją. Wyrwała się z jego ramion i przebiegła parę metrów, ale podcięta runęła na ziemię. Oślepiła ją powódź światła, a uderzenie w skroń odebrało przytomność.

Gdy się ocknęła, miała nad sobą pochylone twarze. Leżała skrępowana pod schodami i czuła nieznośny ból w lewej ręce. Paliły się wszystkie lampy, metalowe stopnie rozbrzmiewały odgłosami kroków. Obok, przywiązana stalową linką do drzwi magazynu, siedziała Miriam.

— Witaj, Rachel.

Drgnęła na dźwięk tego głosu. Zmrużyła oczy, by cokolwiek widzieć i zobaczyła Maksymiliana.

Zrozumiała, co stało się z sobowtórem. Zrozumiała, kogo zabiła.

— Jak? — wydusiła.

— Nawrócił się — odparł cicho Maksymilian. — Oddał za mnie życie. Posłała mu nienawistne spojrzenie.

— Kłamiesz.

— Przyszedł do mnie i o wszystkim opowiedział. Zdradził tajniki waszego planu. Zdemaskował „Miriam”...

— Łżesz...

— Wiesz, kiedy mnie zastąpił? Po tym, jak udając płacz, wybiegłaś z komnaty. Ja zostałem, a on poszedł za tobą. Twierdził, że cię unieszkodliwi. Nie powiedział, że pragnie śmierci. Prosił o trochę czasu. Nie chciał, żebyśmy się do tego mieszała. Okłamał nas. Wybrał śmierć.

Rachela milczała.

— Zostawił kartkę wsuniętą za okładkę Biblii — Maksymilian wyjął z kieszeni pomięty skrawek i podsunął jej na wysokość wzroku. Nic nie pojmowała.

Jak Zbawiciel zginę z ręki kobiety, jak On zostaną zgładzony sztyletem zbrodni...

XIII KREW ODKUPIENIA

Jak zwykle bywa, pierwsze zareagowały komputery.

Sygnaly z oblatywaczy zostały przekazane do głównego stanowiska w Centrali Straży i w formie zakodowanej wyświetlone na zewnętrznych skanerach. Powiadomiono wszystkie brain-driverki o niebezpieczeństwie, nakazując powrót. Na IV Platformie rozpoczynała się rutynowa doba ze sztucznie generowanymi sekwencjami dni i nocy. Kilka kilometrów niżej, na Powierzchni, wstawał szary zamglony świt. światła sygnalizacyjne, spełniające w nocy rolę latarni nawigacyjnych, błędy w rzadkim ołowianym powietrzu, aż przestawały być widoczne i gasły.

Starszy oficer Junona Helsen odebrała komunikat:

Nakazuję skierowanie wszystkich jednostek interwencyjnych na pole kartograficzne P-13, do podsfer 7b. Zagęszczenie androidów przekroczyło tam normę niemal dziesięciokrotnie i zwiększa się. Przyczyny nieznane. Nakaz zatwierdzony przez Przewodniczącą Senatu ma klauzulę natychmiastowej wykonalności.

Junona Helsen uruchomiła alarm, a następnie wyświetliła holograficzny plan miasta. Szybko zlokalizowała kwadrat P-13, powiększyła w maksymalnej skali schemat podsfer 7b. Ciekawe, zagrożony obszar nie stanowił ważnego punktu strategicznego. Znajdował się na wschodnich rubieżach Platformy, oprócz Fabryki Przetwórstwa wznosiły się tam poziomowce Agencji Aborcyjnej.

Pod drzwiami gabinetu czekają już uzbrojone zastępczynie. Kapitan Junona Helsen wyłącza hologram i wydając ostatnie dyspozycje, kieruje się ku hangarom.

Dwa dni wcześniej miała miejsce w Instytucie Psychonautyki tajemnicza awaria.

Doktor Agnes Aspilakopa kończyła kolejny seans, gdy dotarła wiadomość o wypadku w jednej z komór. Konkretnie - w heksagonie trzynastym w strefie izolatek. Od wielu lat, jeszcze zanim przyjęto Agnes na praktyki, komorę 13 zajmowała zagadkowa pacjentka, cierpiąca na rzadki zespół, zwany syndromem Rofinniego lub schizofrenią czasoprzestrzenną. Egzystowała tam pogrążona w ciemnościach świadomość K. Sandry. Agnes skierowała się ku 13-ce przeglądając po drodze pierwsze analizy. Sklecony naprędce raport był chwilowo jedynym źródłem informacji.

Ściany komory, od ponad dziesięciu lat czyste i jednolite, zaczęły pokrywać się dziwnymi znakami — czytała na edytorze karty chorobowej. - Przyczyny nagłej aktywizacji psychiki K. Sandry pozostają nieznane. Na ścianach komory wizualizowały się kształty, identyfikowane jako symbole jednej z nielegalnych sekt działających na Powierzchni (chodzi o krzyże, religijne znaki chrześcijan). Mają one różny wzór, także zupełnie niepodobny do tradycyjnego krzyża prostokątnego, z dodatkowymi ramionami w kształcie litery V, odchodzącymi od poziomej belki.

Na miejscu Agnes poprosiła o zezwolenie na wejście w korytarz okołoprzestrzenny. Mogła stamtąd obserwować wizualizację psychiki K. Sandry i nawiązać z nią < mentalny kontakt. Ostatnie zdanie samoaktualizującego się raportu brzmiało:

Zaobserwowano nowe znaki na powierzchni powłok:

mają kształt trapezu z nieregularnymi rozgałęzieniami odchodzącymi od podstawy...

Krwistoczerwony wybuch pod powiekami.

Co się dzieje?

Agnes traci orientację. Przed oczami sprężyste żarł wirowania, rozedrgane impulsy w ciemności. Próbuje procedur ratunkowych, ale mleczone światło spowija ją w ciasnym kokonie niemocy. Słyszy jednostajny, zgrzytliwy dźwięk. W powietrzu tańczą granatowe pierścienie. Nie może uciec, nie jest w stanie niczemu zapobiec.

Światło. Tysiące lamp oświetla jej twarz, nie rażąc w oczy. W uszach gasnące echo anielskich szeptów. Odległy odgłos gromu, kazanie ogniste.

Bądź wierna

Bądź odważna

Bądź świadoma

Co znaczą te słowa, co znaczy to wszystko? Gdzie ja jestem?

— Podejdz.

Agnes unosi się z kolan. Niebo szarzeje od strony wzgórza, wiatr zamiata piasek i kołysze połaciami suchej trawy. Stoi przed nią kobieta z twarzą zasłoniętą czarnym woalem. Halucynacja? Niebo rysują zygzaki błyskawic. W oddali słychać grom. Nadciąga burza, choć powietrze jest suche i nie pada deszcz.

Wpatrują się w siebie wyczekując.

— Nadszedł twój czas, niewiasto asto... asto... Proroctwo musi się wypełnić ełnić... ełnić..., a przepowiednia ziścić... iścić... Z twoją pomocą i za twoją sprawą awą... awą....

— Kim jesteś... K. Sandro?

— Tą, która ma cię przygotować ować... ować... Uczynić świadomą.

— Ale ja...Ja nic nie pojmuję. Ja...

— Pojmiesz w swoim czasie. Już niedługo ugo...

K. Sandra rozplywa się we mgle. Agnes widzi blado-czerwony księżyc muskany przez chmury. Pod nim, rozpięty na krzyżu, widnieje wielki ekran. Agnes widzi na nim siebie leżącą na stole operacyjnym. Ogląda własną śmierć. W oddali, rozlane po niebie, jarzą się szkarłatne litery ułożone w mglisty, postrzępiony napis: *In hoc signo vinces*. Czuje na policzkach pierwsze krople deszczu

A może to łzy? Pada na kolana. Już wie. W jednej chwili pojmuje wszystko.

- Umarła.

Techmedka zapala światło w kabinie dla powłok. Ciało kobiety leży pokryte kłębowiskiem kabli i kroplówek. Wbudowana w ściany aparatura wskazuje zerowy poziom funkcji życiowych. Po tylu latach życia bez świadomości K. Sandra umarła.

- Co z psychonautką?

- Zależli ją nieprzytomną na podłodze kabiny.

- Dokąd ją zabrali?

- Do kliniki na badania. Nie wiadomo, co było powodem zaśląbnięcia.

- Czy jest już pokwitowanie z krematorium?

- Zaraz prześlę ci wydruk.
- To chyba wszystko. No to tymczasem.
- Na razie. Nie zapomnij, że widzimy się po pracy!
- Uhm.

Obraz w skanerze zniknął.

- Więc gdzie ją zabrali?

Dwie techmedki w służbowych uniformach szły w stronę przebieralni.

- Słyszałam, że z kliniki odesłali ją do Agencji Aborcyjnej. Podobno jest w ciąży!
- Odbiło jej? Chce oddać płód na eksperymenty? A może na biżuterię?
- Z jej pozycją społeczną? Nie zapominaj, że jest Srebrną.
- No to po co miałyby to robić?
- Jest jeden szczegół. Z karty personalnej wynika, że nie poddawała się zapłodnieniu.
- Przecież to żąb...
- Ta sprawa to jedna wielka zagadka. Mówię ci, Cindy, zobaczysz że będzie z tego grubsza afera.

Skończyły się przebierać i wyszły na korytarz Instytutu. Za prostokątnymi oknami tunelu widać było przelatujące pojazdy. Z oddali nadpływały interwencyjne oblatywacze Straży. Wszystkie w kierunku Agencji Aborcyjnej.

Kapitan Junona Helsen tarła oczy ze zdumienia. Takiego stężenia androidów w obrębie jednej podstrefy nie widział dotąd nikt. Purpurowe morze syntetycznych ciał zalewało plac przed centralnym poziomowcem Agencji. Niebo roiło się od świateł oblatywaczy, każdy wolny skrawek zajęty był przez pojazdy Straży. Na dachach pobliskich budowli rozlokowano dwie brygady snajperów. Na monitorach wyświetlano zbliżenia tłumu w różnych ujęciach i skalach. Zachowanie androidów wydawało się dziwaczne. Fakt, że wszystkie postąpiły wbrew wewnętrznym programom, mógł oznaczać najgorsze. Rozważano działanie wirusa paralitycznego albo jednoczesne uszkodzenie układów dyrektywalnych. A jednak zachowywały się biernie. Stały w miejscu, z uniesionymi głowami, nie podejmując działań. Jakby czekały na rozkaz, polecenie uruchamiające tę zbiorową maszynę. Kierowniczka Agencji zrobiła kwadratowe oczy.

- Coś takiego! Ona nosi w brzuchu bachora?

- Nie ma mowy o pomyłce - informowała przez komputer lekarka z oddziału położnictwa. - Początkowo myśleliśmy, że to ciąża urojona, ale szybko się okazało, że to klasyczna ciąża wewnątrzmaciczna. USG wykazało, że to co najmniej trzymiesięczny płód, a analiza hormonalna, że...

- Że co?

- Nie wiem, jak to możliwe! W naszych bankach nie ma takich plemników. Ale wszystko wskazuje, że ten płód.... no, że on jest...

- No?!

- Płci męskiej.

- Jasna cholera! To absurd!

- Niestety, nie ma mowy o pomyłce, a jak mówiłam...

Kierowniczka agencji przerwała jej.

- Dziękuję, doktor Errons; to wszystko, co chciałam wiedzieć. Proszę czekać na dyspozycje. Twarz lekarki zniknęła z ekranu.

- A ty co o tym sądzisz? — spytała kierowniczka zastępczynię siedzącą w pneumatycznym fotelu po przeciwnej stronie stołu.

- Rzeczywiście niecodzienny przypadek...

- Niecodzienny?! To zakrawa na paranoję!

- Można bardzo łatwo zaradzić tej paranoi - rzekła zastępczym zwięzając oczy.

- Skrobanka?

- I to jak najszybciej, żeby nikt się nie dowiedział.

- Żeby nikt... Dobrze sobie! Pół oddziału o niczym innym nie gada!

- Nic na to nie poradzimy. Zgodnie z prawem, jeżeli ciąża nie została zgłoszona do ewidencji, a obywatelka nie ma wpisu w karcie, taka ciąża jest nielegalna. Spoczywa więc na nas ustawowy obowiązek usunięcia embriona. Takie jest prawo i taki jest regulamin naszej Agencji.

Kierowniczka opada na fotel i przypala papierosa.

- No to jazda z nią na salę operacyjną.

- Komputer?

- - W żadnym razie. Podajcie jej eter i czekajcie, aż się zjawię.

Zastępczyni nie kryje zdumienia.

- Czyżbyś?...

- Zgadłaś, złotko. Postanowiłam, że zakończę tę paranoję własnoręcznie.

Tłum na placu przed budynkami Agencji nie malał. Jego zachowanie również nie uległo zmianie, pozostawało bierne i nie zawierało agresji. W Centrali Straży trwało posiedzenie komendantury, ale nikt nie miał pojęcia, co należy dalej robić. Przeważały głosy, że najrozsądniej będzie poczekać na rozwój wypadków. Tak też uczyniono. Oblatywacze krążyły nad obszarem podsfer 7b, znużone snajperki trwały w pogotowiu, a jednostki interwencyjne Straży oczekiwały dalszych poleceń. Sytuacja uległa zmianie pod wieczór.

Podniosła wzrok. Przed sobą miała posępne wzgórze, z którego wyrastały ku niebu trzy krzyże. Nietypowe krzyże, każdy posiadał dwie ukośne belki odchodzące od spojenia dłuższego i krótszego drzewca. Na krzyżu centralnym, największym, wisiał owalny ekran, wyświetlający holograficzne zdjęcia. Projekcja przyszłości. Całkiem niedalekiej. Agnes oglądała je, z wolna pojmując.

Spoza mgieł eterowego zamroczenia wyławiała ostatnie obrazy, głosy i zapachy, niknące razem z jej świadomością. Widziała twarze - mnóstwo twarzy - pochylonych nad nią, ukrytych za sterylnymi maskami. Czowała uścisk na dłoniach i stopach, unieruchomionych w aluminiowych klamrach. Bała się. Usłyszała nowy, niski głos należący do brzydkiej, ponurej kobiety, której twarz okalał kilkudniowy zarost. Poczowała strach. Widziała – już zupełnie przez mgłę - jak ta kobieta zakłada gumowe rękawiczki i wyjmuje ze sterylizatora metalowy przyrząd. Poczowała, jak klamry odjeżdżają na bok, rozchylając jej nogi.

Mgła spowija wszystko.

Dłoń z narzędziem przesunęła się nad jej głową. Uginając powieki pod ciężarem senności, wciąż miała w pamięci metalowy kształt. Dziwnie znajomy. Kojarzony przez podświadomość z czymś, co niedawno widziała. Co, nappełniło ją grozą. Ale i otuchą.

Odpływała w niebyt. Nie obudzi się z tego snu - wiedziała o tym.

Świadomość dopalająca się jak stara świeca.

Nie ma bólu.

Nie ma nic.

Ostatni blask płomienia, ostatni obraz na rubieżach pamięci.

Kształt tego narzędzia. Taki sam jak kształt Nowego Krzyża.

Mgła spowija wszystko.

Cichy szmer, ledwie słyszalny szept ginął początkowo w kakofonii krzyków i syren, zagłuszany warczeniem pojazdów Straży. Jednak szybko przebił się przez mur jednostajnego szumu, po czym wzbił się ku ścianom i dachom budowli silnym i czystym chórem. Tysiące mechanicznych głosów przemawiało na raz, a ich słowa nabierały mocy i stanowczości. Androidy przemawiały - coś kazało im mówić.

Napięcie wśród jednostek Straży rosło. Wyczekiwano, sposobiąc się na najgorsze. Jeżeli ruszą w stronę miasta albo sforsują wejście kliniki - myślała Junona Helsen -zaintervenujemy zbrojnie. Jednym symultanicznym rozkazem upoważnię dziewczęta do otwarcia ognia. Nie obędzie się bez masakry, ale w tej sytuacji należy wybrać mniejsze zło. Inaczej gotowe sterroryzować całą strefę, a kto wie, czy nie inne rejony Platformy.

Wielotysięczny głos wzmagął się; niósł niezrozumiałe słowa, wersy ułożone w obcym języku. Senat, zebrany na nadzwyczajnej sesji, obserwował transmisję:

- Zarejestrować ten bełkot i posłać do Instytutu Lingwistyki. Niech go odszyfrują i prześlą nam tłumaczenie. Prędko.

Po piętnastu minutach pełnego napięcia oczekiwania ścienne ekrany spłynęły powodzią liter.

Przyszła odpowiedź z Instytutu:

Język, w jakim przemawiają, to łacina.

Obok zamieszczono tłumaczenie:

Wierzę w jednego Boga,
Ojca wszechmogącego,
Stworzyciela nieba i ziemi,
wszystkich rzeczy widzialnych i niewidzialnych,
I w jednego Jezusa Chrystusa
Syna Bożego Jednorodzonego,
który z Ojca jest zrodzony
przed wszystkimi wiekami...

Senat milczał.

A ogarnięty paniką tłum ruszył naprzód, forsując bramę kliniki. Wśród gapiów obserwujących zajście podniosła się wrzawa.

Snajperki sięgnęły po broń.

Zanim ukształtowałem cię w łonie matki, znałem cię;
nim przyszedłeś na świat, poświęciłem cię (Jr 1, 5).

Ty bowiem utkałeś mnie w łonie matki
I dobrze znasz moją duszę.
Nie tajna Ci moja istota,
Kiedy w ukryciu powstawałem,
utkany w głębi ziemi (Ps 139,15).

Wojciech Szyda